

U brzegów jazzu w Bielsku- Białej

„Jazz jest niby ptak, który odlatuje i powraca, przylatuje i przyfruwa, przeskakując bariery[...] chmura pozbawiona granic, szpieg powietrza i wody, forma archetypu, coś z przeszłości, coś z głębi, z dołu[...]”- pisał Julio Cortázar w swojej książce „Gra w klasy”. Słowa te powracały do mnie podczas Bielskiej Zadymki Jazzowej organizowanej po raz czternasty w Bielsku- Białej. Przez parę dni, od 22- 26 lutego, urokliwe miasto wypełniły plakaty zwiastujące niezwykle wydarzenia. Nowe nadzieje, legendy, przedstawiciele nurtów jazzowi pokrewnych- wszystko to było ciekawym przeglądem tego, w jaki sposób rozumiane jest dzisiaj pojęcie muzyki jazzowej i jak wyrażają ją współcześni artyści.

Pierwszy dzień festiwalu otworzył występ zespołu, którego liderem jest 25 letni skrzypek, Adam Bałdych. Towarzyszyli mu Andrzej Święs (kontrabas), Paweł Tomaszewski (fortepian, rhodes), Dana Hawkins (perkusja) i Maciej Kociński (saksofon). Redaktor naczelny miesięcznika Jazz Forum, Paweł Brodowski, zapowiadając koncert opowiedział krótką historię na temat spotkania z liderem w Berlinie, gdzie w jednym z klubów „muzyk grał z takim temperamentem, że ponad sceną unosił się ogień”. Podczas występu na Bielskiej Zadymce, gdzie Bałdych wykonał kompozycje z autorskiej płyty „Magical Theater” oraz niektóre z nowego repertuaru, z pewnością można było ten ogień poczuć. Niezwykła charyzma lidera, pełne emocji improwizacje, melodie „z charakterem”, a wszystko to poparte dobrym warsztatem, który zarówno samemu Bałdychowi jak i Maciejowi Kocińskiemu pomaga odkrywać nowe możliwości brzmieniowe instrumentów. Już sam sposób porozumiewania się członków zespołu między sobą, tak bardzo widoczny na twarzach i w gestach, przyciągał uwagę publiczności, do samego końca nie pozwalając na brak zainteresowania tym, co dzieje się na scenie - magicznym, muzycznym teatrem. Prezentowane przez skrzypka utwory są nieskomplikowane formalnie, przez co pozwalały muzykom skupić się na energetycznym przekazie, stopniowaniu napięcia, sile dynamiki, zabawie motywami. I to właśnie czysta energia staje się wspólnym mianownikiem poszukujących własnego języka artystów. Ta zaś, gdy dociera do odbiorcy sprawia, że muzyki Bałdycha można słuchać na żywo bez cienia znużenia. Jakie będą jej dalsze losy? Z zapowiedzi dowiedzieliśmy się, że młodemu skrzypkowi zaproponowano kontrakt z wytwórnią ACT Music, dla której nagrywało między innymi słynne Esbjörn Svensson Trio, a na jego najnowszej płycie pojawią się kontrabasista Lars Danielsson i pianista Jacob Karlsson. To zarówno docenienie

dotychczasowych poszukiwań muzyka, jak i skierowanie go ku innym brzegom jazzu, czemu z pewnością warto się przyglądać.

Wyczekiwana częścią programu było pojawienie się na scenie dwóch legendarnych muzyków, Archie Sheppa i Joachima Kühna, których repertuar stanowiły utwory z wydanej wspólnie płyty Wo!Man. Pochodzący z różnych kontynentów muzycy (Archie Shepp z USA, Joachim Kühn z Niemiec) spotkali się w jednej z najbardziej ambitnych formacji jaką jest duet jazzowy. Ich punktem stycznym jest zakorzenie w awangardzie lat '60 XX wieku, choć ekspresję uzyskują raczej poprzez syntezę tego, co ich różni. Joachima Kühna wyraźnie przenika wpływ muzyki klasycznej. Ciemne, gęste akordy oraz wirtuozerska umiejętność rozbudowywania krótkich motywów raz stanowi tło, innym razem pierwszoplanową partię, kształtując materiał dialogowy dla ciepłego, ochrypłego brzmienia saksofonu Sheppa. Gra tego ostatniego przywodzi na myśl wiele odcieni jazzu, począwszy od muzyki ery swingu i jej czołowych przedstawicieli, takich jak Duke Ellington, Ben Webster (których miał okazję słuchać jeszcze jako dziecko), po Johna Coltrane'a i Cecila Taylora. To właśnie od współpracy z Taylorem zaczyna się kariera Shepp'a jako profesjonalnego muzyka oraz ukształtowanie jego indywidualnego stylu gry. Podczas koncertowego wykonania utworów z albumu Wo!Man można było usłyszeć charakterystyczne dla legendarnego saksofonisty rytmiczne, energiczne frazowanie, budowanie dynamicznych kontrastów, szerokie rozumienie harmonii nie zakłócające ciągłości wypowiedzi i podziału na prezentację tematu i fragmenty improwizowane. Ogromna paleta sposobów wyrażania myśli muzycznych Sheppa i Kühna pozwoliła im na twórczą wymianę, budowanie napięć i ich niwelowanie, w rezultacie wciągając słuchaczy do swojej wyrafinowanej rozmowy. Ta zaś odbywa się w bardzo szerokim kontekście klasyki, awangardy i bluesa.

Na pewno nie jest to muzyka dla wszystkich. Duet tych dwóch postaci skierowany jest do słuchaczy, którzy rozumieją, że kontemplowanie muzyki łączy się niejednokrotnie z podejmowaniem wysiłku, na który części publiczności opuszczającej salę w trakcie występu nie było stać. Być może problem tkwił w późnej porze. Koncert zaczął się bowiem po dwudziestej drugiej. Warto było jednak pozostać do końca, ot choćby po to, by ulec urokowi Archie Shepp'a-niewątpliwej jazzowej legendy.

Drugiego dnia festiwalu mieliśmy okazję zobaczyć dwa odległe od siebie zespoły. Pierwszy z nich to kwintet młodego amerykańskiego trębacza, Ambrose Akinmusire'a. Towarzyszyli mu Walter Smith III – saksofon tenorowy, Sam Harris- fortepian, Matt Brewer-

kontrabas i Kendrick Scott – perkusja. Akinmusire to muzyk, który wychodząc na scenę potwierdza wszystko, co na jego temat zostało powiedziane: nadzieja jazzu, trębacz otwierający nowe horyzonty dla swojego instrumentu, wirtuoz. Jan Ptaszyn Wróblewski zapowiadając pojawienie się autora "When the Heart Emerges Glistening" wspomniał, że najważniejszym punktem w jego biografii jest wygrana w konkursie imienia Theloniusa Monk'a, który to konkurs nigdy jeszcze co do wyboru swoich laureatów się nie pomylił. Po wysłuchaniu koncertu trzeba przyznać, że i tym razem nie można mieć żadnych wątpliwości. Lider potrafił urzec zarówno wytrawnych słuchaczy jazzu jak i tych, którzy na tego typu koncertach szukają po prostu zwykłych emocji, nie próbując wnikać głębiej w prezentowaną im materię. Wykorzystując dobrze opanowany warsztat techniczny przekonał, że rozumie mowę tradycji, poszerza jedynie jej granice tak, że w pewnym momencie jesteśmy już w innej muzycznej przestrzeni, słuchamy nowego języka. Akinmusire niezwykle sugestywne działa na wyobraźnię, i przywodzi tym działaniem skojarzenia z impresjonizmem. Najistotniejszą rolę odgrywają tutaj doskonale rozplanowane aranżacje, układające się w pewną historię. Wraz ze swoimi muzykami konsekwentnie o czymś „opowiada”, w swój własny, przejrzysty sposób, wpisując w te opowieści perfekcyjne, nienachalne brzmieniowo improwizacje. Słysząc to zarówno w autorskich utworach, takich jak przejmująca ballada 'Confessions To My Unborn Daughter', jak również w dobrze znanych jazzowych standardach, na przykład w zagranym na bis z Samem Harrisem „In a Sentimental Mood'. Narracyjność muzycznych wypowiedzi Akinmusire'a przejawia się w zmiennej kolorystyce dźwiękowej, oraz w konsekwentnym odchodzeniu od typowego schematu kompozycji. Odnajdujemy w nich, niczym w powieści, wiele tematów o różnym charakterze, bogactwo zwrotów akcji, momenty kulminacyjne i zaskakujące zakończenia.

Drugi koncert należał do Concha Buiki występującej w towarzystwie Scott Kinsey'a- fortepian, syntezator, i Ramón Suárez'a – cajon. Czarnoskóra artystka pojawiła się na scenie w czerwonej sukni podkreślającej jej ognisty temperament, by następnie charakterystycznym chrypiącym głosem wprowadzić egzotyczny klimat do ciemnej, wypełnionej tłumnie przez publikę przestrzeni. Pochodząca z Gwinei Równikowej wokalistka została wychowana przez cygańską społeczność na Majorce, a profesjonalną drogę muzyczną rozpoczęła na studiach aktorskich w Londynie. W swoich utworach Buika odzwierciedla fuzję różnych kultur wykorzystując elementy flamenco, soulu, jazzu, i tradycyjnej muzyki afrykańskiej. Można powiedzieć, że wplata doświadczenia z różnych przestrzeni geograficznych w autorskie kompozycje, choć na koncercie mogliśmy podziwiać także interpretacje dobrze znanych

piosenek Edith Piaf czy Abbey Lincoln, w których łączyła dźwięki elektroniki z rytmicznie brzmiącym cajonem. Owej mieszance stylistycznej, którą niektórzy krytycy określili mianem „fusion flamenco”, towarzyszyły także etniczne improwizacje i performance, co sprawia, że twórczość tę trudno opisywać pojęciami związanymi ściśle z muzyką jazzową. Z całą pewnością jednak mozaikowość muzycznej ekspresji wokalistki jest czymś znamionym dla artystów utożsamianych z tak zwaną „Muzyką Świata”, na gruncie której Buika stworzyła swój niepowtarzalny język. Dzięki jej występowi sala klubu Klimat, w którym odbywały się festiwalowe koncerty, zmieniła się nagle w zupełnie inne miejsce. Można było zapomnieć o kryształowej kuli wiszącej pośrodku, sali bilardowej za kotarą, i odpłynąć gdzieś w inną, magiczną przestrzeń.

W piątkowy wieczór odwrotnie. Kryształowa kula powinna znaleźć się tuż nad głowami muzyków. Zespół NoJazz z Francji wystąpił w składzie: Philippe Sellam (saksofon), Andrew Ward (śpiew), Philippe Balatier (instrumenty klawiszowe), Sylvain Gontard (trąbką), Pascal Reva (perkusja). Na scenie pojawił się także Dj Balat. Wprowadzili oni iście dyskotekowy nastrój. Bardzo trudno mi o tym pisać w kontekście festiwalu jazzowego. Być może w tej właśnie chwili każdy z miłośników Bielskiej Zadymki Jazzowej zadał sobie kluczowe pytanie: co właściwie nazywamy dziś jazzem? Jakie są jego granice? Czy naprawdę warto pozostawać tak bardzo liberalnym w wyznaczaniu jego podstawowych cech? By nie szukać długo odpowiedzi odwołajmy się do słów Leopolda Tyrmanda z niezwyklej książki „U brzegów jazzu”. Tam każde zdanie wydaje się trafnie określać istotę muzyki jazzowej, przytoczmy jednak te z pierwszych stron mówiące, iż w jazzie: „Nieustanne skomplikowanie jazzowych figur rytmicznych łączy się za sprawą trudności wykonawczych, a w dalszej konsekwencji- za sprawą wirtuozostwa instrumentalnego”. Idąc za tą definicją może warto przemilczeć piątkowy koncert i skupić się na konkursie organizowanym w ramach festiwalu.

W tym roku komisja wyłoniła trzydzieści trzy młode zespoły, spośród których cztery zakwalifikowały się do ścisłego finału. W składzie jury zasiedli: Maria Schneider (której Jan Ptaszyn Wróblewski odstąpił swój tytuł przewodniczącego), Jan Ptaszyn Wróblewski, Jonas Jucas, Paweł Brodowski, Andrzej Kucybała, Grzegorz Żmuda, Andrzej M. Herman. Do grona finalistów dostali się: Mateusz Walach Big Band, Fusion Generation Project, Dariusz Dobroszczyk Trio oraz Interplay Jazz Duo. Oficjalne wyniki konkursu ogłoszono podczas finałowej gali w Teatrze Polskim następnego dnia. Lauretem został Interpley Jazz Duo w składzie Kamil Urbański (fortepian) i Jędrzej Łaciak (gitara basowa). Podczas krótkiego

recitalu zwycięskiego zespołu słuchacz otrzymał dawkę wyważonych proporcji. Muzyczny dialog pomiędzy dwoma instrumentalistami rozpiął się pomiędzy zdolnością wzajemnego słuchania, oddawania głosu, i wypowiedziania własnego zdania. Wygrana niezwyklej formacji jaką jest duet jazzowy to wyraźny sygnał, że w czasach, kiedy dominują głośnie brzmienia, skomplikowane muzyczne formy, warto przez chwilę wysłuchać czegoś 'czystego' brzmieniowo, nieprzeładowanego i nabrać dystansu wobec otaczającego nas muzycznego gąszczy. Ten duet był czystą przyjemnością dla ucha, i, jak zapowiedział przed występem Jan Ptaszyn Wróblewski, wzorcowym przykładem umiejętności oddziaływania na siebie dwóch muzyków.

Podczas sobotniego wieczoru, oprócz krótkiego występu laureatów konkursu, usłyszeliśmy dwa niezwykle finałowe koncerty. Pierwszym z nich był koncert kwartetu Andrzeja Zubka. Kontrabasista Bronisław Suchanek, perkusista Kazimierz Jonkisz, i trębacz Bogusław Skawina spotkali się ponownie po 44 latach, by wspólnie uświetnić jubileusz pracy artystycznej założyciela zespołu. Andrzej Zubek otrzymał z tej okazji srebrny order Gloria Artis. Chwilę potem, gdy Jan Ptaszyn Wróblewski w humorystyczny sposób przywołał wspomnienia na temat każdego z muzyków, zabrzmiały pierwsze dźwięki. Wydaje mi się, że zawsze, gdy zespół posiada wybitnego kontrabasistę, skład nagle poszerza się o dodatkowe brzmienia tak, że zaczynamy się zastanawiać z iloma instrumentami mamy tak naprawdę do czynienia. Dla Bronisława Suchanka nawet najbardziej znany standard staje się punktem wyjścia do twórczego eksperymentu. Pomaga mu w tym z pewnością doskonały warsztat techniczny. Granie smyczkiem tematu, za chwilę pizzicato, improwizacja przy użyciu dwudźwięków, trójdzźwięków, przy podstawkę i na gryfie, a często wszystko to w jednym utworze! Doświadczeni muzycy potrafią z kimś takim stworzyć wspólnie coś magicznego. W trakcie ostatniego utworu do zespołu dołączyła Silesian Jazz Orchestra złożona z nauczycieli, absolwentów i studentów Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Jeszcze przez kolejne dwa utwory poprowadził ją sam Andrzej Zubek, którego na fortepianie zastąpił Paweł Tomaszewski. Chwilę później przekazał jednak batutę osobie, na którą publiczność czekała od początku festiwalu.

Maria Schneider zwyciężyła w ubiegłym roku w głosowaniu magazynu Downbeat zyskując miano najlepszej kompozytorki i aranżerki, a jej orkiestra otrzymała tytuł najlepszego big bandu. Także podczas Bielskiej Zadymki Jazzowej w jej rękach znalazła się nagroda- statuetka Jazzowego Anioła. Jan Ptaszyn Wróblewski w zapowiedzi przyrównał ją

do artystów tej klasy co Benny Goodman, Glenn Miller, Count Basie, Duke Ellington i Gil Evans. Rzeczywiście, każdy z wymienionych muzyków wprowadzał do big bandowej formacji coś nowego zarówno pod względem brzmieniowym, jak i harmonicznym. Maria Schneider tymczasem, wykorzystując w swoich aranżacjach szeroką kolorystykę dźwiękową, pokazała bardziej kobiecą, sensualną, i emocjonalną stronę jazzowej orkiestry. Urodzona w stanie Minnesota w miejscowości Windon, w wywiadach wielokrotnie przywołuje swoje dzieciństwo spędzone na prerii, czyniąc je motywem przewodnim wielu utworów. Tak powstał „Concert in a Garden”, swoista opowieść o miejscach, w których obcowała z naturą, muzyczne wspomnienie beztróskiego czasu w rodzinnych stronach. Podczas sobotniego wieczoru w Teatrze Polskim usłyszeliśmy go ze wzruszającym wstępem akordeonowym Cezarego Paciorka, z którym następnie w dialog wszedł pianista Paweł Tomaszewski. Podczas kolejnych kompozycji zauważyć można było, że w twórczości Schneider swoje odbicie znajduje fascynacja tym, czego doświadczamy w życiu, nie tylko w sensie dosłownym, ale również metafizycznym. Tematy takie jak śmierć, nieobecność, zachwyty nad ludzkim istnieniem, przyrodą, kompozytorka przedstawia za pomocą skrupulatnie zaplanowanych aranżacji, w których wszystko ma swoje miejsce, czas, swój nastrój, a każdy takt zdaje się być niezwykle istotny. Przykładem może być „Sky Blue” jeden z nielicznych utworów w dorobku Marii Schenider, który nie został napisany na zamówienie, lecz stanowi osobistą ekspresję uczucia straty z powodu śmierci przyjaciółki. Tę niezwykle poruszającą kompozycję możemy nazwać elegią utrzymaną w żałobnym tonie, która stopniowo zamienia się w hymn nadziei, ufności w to, że nieustanne przemijanie ma sens. Przy okazji „Journey Home”, stanowiącym ‘zapisek’ z podróży do Brazylii artystka wspomniała, że spotkanie z Paco de Lucią odmieniło jej życie. Przepelniona latynoskim frazowaniem perkusisty Pawła Dobrowolskiego, i wzbogacona improwizacjami Jacka Namysłowskiego na puzonie, aranżacja zapraszała do pobudzającego wyobraźnię, nasyconego wielością barw i kolorów świata. Podobnie jak w przypadku pozostałych dzieł, to również miało wiele wspólnego z poezją, którą Maria Schneider nieraz wykorzystuje jako źródło natchnienia. Tak było w przypadku wiersza „Concert in a Garden” Octavio Paza, który stanowi dla mnie metaforyczną opowieść o tej niezwyklej muzyce.

„Concert in a Garden”¹

¹ Octavio Paz, translated by Eliot Weinberger, from COLLECTED POEMS 1957-1987, copyright©1986 by Octavio Paz and Eliot Weinberger.

(VINA AND MRIDANGAM) For Carmen Figueroa de Meyer

It rained.

The hour is an enormous eye.

Inside it, we come and go like reflections.

The river of music Enters my blood.

If I say body, it answers wind.

If I say earth, it answers where?

The world, a double blossom, opens:

Sadness of having come. Joy of being here.

I walk lost in my own center.

W ostatni dzień przyszedł czas na koncert Jana Ptaszyna Wróblewskiego. Wraz z nim na scenie pojawili się pianista Wojciech Niedziela, saksofonista Henryk Miśkiewicz, trębacz Robert Majewski, kontrabasista Sławomir Kurkiewicz i perkusista Marcin Jahr. Występ został opatrzony tytułem- dedykacją: „Moi pierwsi mistrzowie: Komeda, Trzaskowski, Kurylewicz”. Warto przypomnieć, że lider zespołu swoich mistrzów znał osobiście. To właśnie z Sekstetem Komedy debiutował na I-szym Festiwalu Jazzowym w Sopocie w 1956. Z Andrzejem Trzaskowskim i Andrzejem Kurylewiczem spotkał się natomiast w 58 roku w grupie „Jazz Believers”, którą na początku współtworzyli również Krzysztof Komeda, Roman Dyląg i Jan Zylber. Wraz z opowieściami każdy występ legendarnego saksofonisty nabiera charakteru muzycznych wspomnień. To trochę inny brzeg jazzu, historia, do której dobrze jest powracać, zanim wyruszymy gdzieś dalej. Niedzielny koncert przypomniał mi przywołaną już książkę Tyrmanda, napisaną właśnie w czasach świetności mistrzów Jana Wróblewskiego. W „U brzegów jazzu” znalazłam odpowiedź na pytanie dlaczego ten szczególny rodzaj muzyki tak bardzo urzeka: „W tej swoistej telepatii zawiera się bezpośrednie przekazywanie czegoś nieuchwytnego, ulotnych, nieokreślonych słowami znaczeń, jakiejś styczności ze źródłami ludzkich uczuć i odruchów, a może ludzkiej wiedzy, ukrytych głęboko poza świadomością- styczności tak ukośnej i pochylej jak wyobrażenie nigdy nie widzianej twarzy, znikającej za rogiem własnego umysłu”. I jeszcze bardziej oczarowało mnie to jazzowe popołudnie. Nie znajduję

też trafniejszego określenia wrażeń towarzyszących mi po tegorocznej Bielskiej Zadymce Jazzowej.

Karolina Beimcik